

Jan Maciejewski: Zuzanna i starzec

Schowane były w białej, niepodpisanej kopercie. Doszło do tego dwa dni przed jego śmiercią. Miał już wyraźne problemy z mówieniem, ale to, czego ode mnie oczekiwał, wyraził nader jasno. Pokazał ręką na szufladę szpitalnej szafki. Poza kopertą nic w niej nie było. A kiedy trzymałem ją w ręce, powiedział, uśmiechając się z wysiłkiem: „kogut dla Asklepiosa” – przeczytaj wstęp do książki Jana Maciejewskiego „Listy do Zuzanny”, która ukaże się wkrótce nakładem Teologii Politycznej.

Wesprzyj wydanie *Listów do Zuzanny* Jana Maciejewskiego!

A więc jednak to robię. Jeżeli te listy ukazują się w druku, rozstrzygnęła się największa wątpliwość mojego życia. Przedmiot rozterek i wahań minionych trzech lat. Tyle czasu minęło od śmierci brata. Obsesja, której próbowałem się oprzeć. Okazało się, że jednak mnie nią zaraził. Zdążył to zrobić, zanim umarł.

To jedyna pamiątka, jaka mi po nim została. Wszystko inne posprzątałem. Zostały tylko listy. I kobieta, do której je pisał. Zuzanna.

Mój brat był profesorem literatury. Traktował słowa jak sakrament. Przystępował do pisania z tremą dziecka podchodzącego pierwszy raz do ołtarza. Bał się, że nic nie poczuje. Że będzie obojętny i tą samą obojętność wywoła w umysłach czytelników.

Nigdy nie byłem na żadnym z jego wykładów. Wystarczyło mi, że wiedziałem, jaką cieszą się popularnością. Kilka ich cykli zostało później wydanych w formie książek. Nie przeczytałem ich. W ogóle nie czytałem niczego, co pisał mój brat. Aż do czasu *Listów do Zuzanny*. To mój tytuł. Najprostszy, jaki przyszedł mi do głowy.

Z tych listów jasno wynika, że w ostatnim okresie swojego życia stracił głowę dla młodej kobiety. Trudno mi jest usprawiedliwić ten fakt dodatkową okolicznością w postaci tego, że nie jestem do końca pewien, czy kobieta ta naprawdę istnieje. Bez wątpienia jednak mój brat – zdaje mi się lub zdawało się tylko jemu – spotykał ją, śledził, podglądał, a wreszcie napisał do niej kilkanaście listów.

Tylko Zuzanna wie, czy naprawdę istnieje. Jeśli tak, przekona się teraz również, że była obsesją mojego brata, adresatką pisanych przez niego w ostatnich miesiącach życia listów. Większość powstała w jego mieszkaniu, ostatnie dwa – w szpitalu. Tam też mi je przekazał. Schowane były w białej, niepodpisanej kopercie. Doszło do tego dwa dni przed jego śmiercią. Miał już wyraźne problemy z mówieniem, ale to, czego ode mnie oczekiwał, wyraził nader jasno. Pokazał ręką na szufladę szpitalnej szafki. Poza kopertą nic w niej nie było. A kiedy trzymałem ją w ręce, powiedział, uśmiechając się z wysiłkiem: „kogut dla Asklepiosa”.

Było to nawiązanie do jednej z naszych poprzednich rozmów. Żeby wyjaśnić pełne znaczenie tamtych słów, muszę zacząć wreszcie opowiadać o tamtych dniach.

Prawie całe dorosłe życie mieszkał w dwupokojowym mieszkaniu, na parterze niewysokiej kamienicy. Nie był to ani wygodny, ani nawet specjalnie ładny dom. Od dawna już namawiałem go do przeprowadzki, on jednak kategorycznie odmawiał. Trzymał się tego miejsca jak zbieg swojej kryjówki. Podejrzewam, że obawiał się przeprowadzki. Naruszenia kruchej równowagi, którą wypracowywał, ustalał latami. Nie wyobrażał sobie zdejmowania z półek, pakowania wszystkich swoich książek, a potem ustawiania ich na nowo. W układzie kilku tysięcy tomów, które zajmowały wszystkie ściany jego mieszkania, zaszyfrował jakiś kod, który tylko on jeden potrafił złamać. Jego biblioteka sprawiała wrażenie mapy. Były tam wyraźnie wytyczone główne szlaki handlowe, były też ślepe uliczki. Nie ustawiał ich wedle wielkości, tematyki czy choćby wydawnictwami. Wrażenie kompletnego chaosu przełamывała tylko pieczołowitość, z którą poszukiwał właściwego miejsca, gdy odkładał którąś z książek na półkę. Nie było ono niemal nigdy tym samym, z którego je ściągnął. Jego mapa stanowiła ruchome terytorium. Żywy organizm, który karmił własnymi oczami, czasem, ołówkiem i piórem, podkreślającymi zdania i notującymi nieczytelne słowa na marginesach stron.

Tak przynajmniej wyglądała główna część jego biblioteki, ta znajdująca się w salonie. Do swojego gabinetu nie wpuszczał nikogo, nawet mnie. Byłem tam tylko raz, po jego śmierci. Ale to już było wtedy inne mieszkanie. Umarło razem z nim. Tamten pokój był tylko truchłem po gabinecie. Kiedy stanąłem w jego progu, przyszło mi na myśl to samo zdanie, które bezwiednie dostało mi się na usta, gdy zobaczyłem jego zwłoki: „tutaj go nie ma”.

Zaczął nas opuszczać już kilka miesięcy wcześniej. Pierwsze symptomy choroby zauważyłem, gdy odwiedziłem go późną zimą, pod koniec lutego. Zazwyczaj siadaliśmy obaj przy stole, wypijaliśmy po kubku herbaty, po mniej niż godzinie żegnaliśmy się uprzejmym uściśnięciem ręki. Rozstawaliśmy się z gorzkim posmakiem ulgi w ustach. Tym razem mój brat opadł głęboko w fotelu. Ciężko oddychał. Jego ciało było zmęczone. Za to oczy – lśniły jakimś niepokojącym blaskiem. Wyraźnie cieszył się na mój widok. Nie zapytał, co u mnie słychać, co mnie sprowadza, nic z tych rzeczy, którymi zazwyczaj rozpoczynał rozmowę. Prawie zawsze mówiliśmy tylko o mnie. Ale tym razem było inaczej.

„Zacząłem pisać” – powiedział. Nie byłoby w tym nic dziwnego. Zawsze coś pisał – artykuły naukowe, konspekty wykładów, recenzje. Zawsze to robił i nigdy o tym nie mówił. Poczułem niepokój, ale starałem się nie dać tego po sobie poznać. W jego podnieceniu było coś krępującego. Jakbym rozmawiał z nastolatkiem o jego pierwszych wierszach. Zapytałem – tak naturalnie, jak tylko potrafiłem – nad czym pracuje.

Zamiast odpowiedzieć, przyglądał mi się, uśmiechając się pod nosem. Oddychał już spokojniej, ale nadal z pewnym trudem.

Pomyślałem, że czeka, aż mu pogratuluje. Od lat wspominał – po dwóch zdaniach wycofując się i zmieniając nerwowo temat – że myśli o napisaniu „czegoś swojego”. Ale zbyt poważnie do tego podchodził. Jak już wspominałem, był w nim dziecięcy lęk przed bluźnierstwem. Nieszczerością, oszustwem. Bał się i pragnął tego równie mocno. Kiedyś powiedziałem mu, że zachowuje się jak zakochany, który potrafi tylko podziwiać dziewczynę z daleka – tak, żeby tamta nawet go nie zauważyła. A im dłużej się do niej nie odzywa, tym bardziej idealizuje ją w swoich oczach. I tym trudniej będzie mu kiedykolwiek do niej podejść. Wydawało mi się to bardzo trafną metaforą, ale od razu zauważyłem, że go zraniła. Najwyraźniej odebrał to jako przytyk. Tematu kobiet nie należało poruszać w jego obecności nawet w ramach metafory. Miał do nich podobny stosunek jak do pisania. Niezdrowo nabożny. Jak wielu starych kawalerów.

Od tamtej pory – a było to już kilka lat temu – słowem nie wspominałem przy nim ani o pisaniu, ani o kobietach. Ale on jakby chciał właśnie wrócić do tamtej rozmowy, podjąć ją na nowo.

„Zobaczyłem ją – powiedział – i nie tylko. Poszedłem za nią. Jest jeszcze piękniejsza, niż myślałem”.

Byłem przekonany, że nawiązuje do tamtej rozmowy i mojego niewinnego żartu. Ale wyraz jego twarzy, ton głosu, zaciśnięte pięści na oparciu fotela – w tym wszystkim była jakaś niezdrowa przesada. Coś z prawdziwego zakochania. Kiedy mężczyzna zakochuje się pierwszy raz na starość, staje się niebezpieczny. Przede wszystkim dla samego siebie. Zaczyna mu zagrażać własna śmieszność. Miłość jest chorobą, którą należy przejść w młodości. Później, z każdym rokiem, jest coraz bardziej nie na miejscu. A gdy przychodzi pod koniec życia, jest jak ogień pożerający wyschnięte drzewo.

Każdy człowiek ma swoje brzmienie. Obecność niektórych jest jak taneczna, rozweselająca całe towarzystwo piosenka. Inni pobrzmiewają nostalgią, ktoś jeszcze podnosi od wejścia ciśnienie, jak pierwszy akord rockowego koncertu. Są ludzie-melodie błahe, są też tacy, którzy zwyczajnie fałszują – już na pierwszy rzut oka (i ucha) coś się w nich rozjeżdża, nie można z nimi wysiedzieć dłużej niż pięć minut, tak nerwowo i niepewnie robi się w ich towarzystwie. A on był jak precyzyjna, w każdym calu odmierzona polifonia. Gdy tylko wchodził do pomieszczenia, miało się wrażenie, że rozbrzmiewa temat *Sztuki fugi* Bacha. Ale w tej chwili usłyszałem w nim nowe tony. Jakiś dysonans; napięcie, które nie odpuści, dopóki nie zostanie rozwiązane.

To jeszcze jedna rzecz, którą zawsze powtarzał, gdy była mowa o pisaniu. Chciał się mylić.

Odkrywać, powoli i sukcesywnie, o co chodzi w opowieści, którą pisze. Tak też zrozumiałem teraz jego słowa: „poszedłem za nią”. Myślałem, że chodzi mu o fabułę.

– No dobrze, opowiedz mi o niej – miałem na myśli jego powieść. A on znowu zaczął mówić o niej jak o kobiecie.

– Jest piękna. I bardzo nieszczęśliwa. Myślę, że mnie potrzebuje. Choć nie tak bardzo jak ja jej. Wiesz dobrze, o kim mówię. To Zuzanna.

To również był żart. Kiedyś się za niego na mnie obraził, a teraz najwyraźniej postanowił się za jego pomocą zemścić.

Byliśmy już wtedy obaj na studiach, a on nigdy nawet nie spotkał się z żadną dziewczyną. Jedyne kobiety, jakie poznawał, były postaciami z książek.

– Kim jest twoja Dulcynea, don Kichocie? Kim musiałaby być, żebyś uznał, że jest ciebie godna? Gruszeńka z *Braci Karamazow*? Co? Wyruszyć na ratunek upadłej kobiety, okupić to wszystkim, co masz. Zatracić się. To by cię usatysfakcjonowało?

Milczał. To powinno włączyć sygnał alarmowy w mojej głowie. „Nie, upadek to za mało. Za niska stawka, prawda? Ty nie możesz jej tylko uratować. Potrzebujesz kogoś, od kogo będziesz się czuł gorszy. Szukasz swojej królowej. Więc jak, Atreju, zakochałbyś się w Dziecięcej Cesarzowej?

Już wiem! To musi być jedna i druga naraz. Upadła królowa. Anioł zabłąkany w naszym świecie. Wymnana na własne życzenie, król Lear w spódnicy. Zuzanna z Narnii, prawda? To jej szukasz, braciszku. Chciałbyś ją przywrócić na tron. Sprawić, żeby z powrotem uwierzyła w świat, który uznała dawno temu za złudzenie i dziecięcą zabawę. A teraz pojawia się ty, bierzesz ją za rękę i ruszacie w kierunku szafy. Przywracasz Narnii jej królową, a królowej ratujesz duszę. Czy można chcieć więcej?”. Zdaje się, że powiedziałem to wszystko, przedrzeźniając ton głosu, jakim rodzice zwykle czytają kilkuletnim dzieciom bajki na dobranoc.

Wstał, nie patrząc w moim kierunku. Wyszedł bez słowa. Przez cztery lata odrzucał wszystkie próby kontaktu. A potem, jakby nigdy nic się nie stało, wrócił. Kiedy spróbowałem nawiązać do tamtej rozmowy, jakoś rozstrzygnąć, zamknąć raz na zawsze tamten temat, udał, że mnie nie słyszy. Przez kilkadziesiąt lat nie rozmawialiśmy o Zuzannie. Aż do tej chwili.

Zaczął opisywać szczegóły jej wyglądu, opowiadać mi o ich pierwszym spotkaniu. Mówił o niej jak o żywej kobiecie. Najprawdziwszej na świecie. Bałem się. Nie tylko o niego. Owszem, martwiłem się o jego zdrowie, ale mój niepokój był głębszy. Chciałem jakoś zakończyć tę rozmowę.

– Słuchaj, naprawdę się cieszę, że zaczęłaś pisać.

– „Pisać”! „Czytać”! – wybuchnął z oburzeniem. – To straszne słowa. Nienawidzę ich. Zawsze nienawidziłem. Mają w sobie higieniczną bezosobowość. Smak pocałunków przez jałową gazę. Wiesz, czego im brakuje? Ciała. Biografii. Jeżeli pisać, braciszku, to tylko autobiografię. Ugniatać swoje ciało, wrywać z niego skórę, narządy i ugniatać z nich żywą postać. Innego, który będzie mną. I jednocześnie kimś, kim nigdy nie mógłbym być. Ale to ja wpompuję w niego swoją krew, bo innej nie mam pod ręką. Składać ofiarę, rozumiesz? Nakłuwać ostrzem pióra własną skórę i patrzeć, jak czarna krew krzepnie na białym śniegu kartki. I takie „pisanie” można potem – nie, nie „czytać”! – jeść. Niech się oblizują albo wypluwają z niesmakiem, to już nie nasza rzecz. Nasz jest tylko obowiązek. Nie wobec „czytelników”. Z całym szacunkiem, ale nie o nich tutaj chodzi. Na pewno nie w pierwszej kolejności. Liczą się jako pretekst. Ale nie są prawdziwym wierzycielem.

– Więc po co?

– Dla Zuzanny. Dla don Kichota. Dla Fantazjany i Dziecięcej Cesarzowej. Dla Gruszeńki i Mitii Karamazowa. Tylko oni naprawdę czekają. Są realni bardziej niż ty czy ja. I pragną naszej krwi. Naszego wzroku. Bo istnieć to być widzianym, braciszku. Zuzanna pozwoliła mi się zobaczyć. Nie wymyśliłem jej sobie. Ona tylko pozwala mi na siebie patrzeć.

Tu w ogóle nie chodzi o pisanie. To jakbyś mówił, że w muzyce liczy się pięciolinia i kropki z ogonkami. A one tylko wydrapują na papierze szpary, przez które zaczyna się sączyć melodia. Ja nie piszę, tylko drapię, rozumiesz? Podglądam ją przez dziurkę od klucza. Niczego nie

wiem na temat pisania – wszystko, co wiedziałem wcześniej, było warte funta kłaków. A nawet mniej, bo tylko mi przeszkadzało. Nie mam pojęcia na temat literatury. Nie piszę powieści, spróbuj to zrozumieć. Ja ją spotkałem. Zuzannę. Przyszła do mnie. Nie jestem pisarzem, nie mam zamiaru nim być. Chcę ją tylko podglądać. Tak długo i dokładnie, jak tylko pozwoli mi mój wzrok i wiek.

Uspokajały mnie jego metafory. Nawet jeżeli ich nie pojmowałem, to sam fakt, że się nimi posługiwał, przywracał naszej rozmowie kontury realności. Rozumiałem, że za ich pomocą próbuje mi opowiedzieć o swojej metodzie. Dziwnej, dziecinnej, nienaturalnej – ale wciąż rozmawiamy tylko o literaturze. A pismo to oswojone zwierzę. Nawet jeśli widziałem w nim kota, a mój brat lwa, to wciąż siedział zamknięty w klatce słów. Nie mógł zrobić krzywdy mnie, jemu, komukolwiek.

Ale on jakby czytał mi w myślach.

– To, co jest między mną i Zuzanną, to nie metafora. Wypluj to słowo. A potem, na wszelki wypadek, rozmaż butem. Nie wolno ci tak o niej myśleć. Ona jest naprawdę. Widziałem ją wyraźniej, niż widzę ciebie. A nawet powiem ci, że z każdą chwilą rzedniesz w moich oczach. Rozpływasz się jak mgła o poranku. Lepiej już sobie idź, zanim do końca znikniesz. Co bym wtedy powiedział twojej żonie?

[...]

**Fragment nowej książki Jana Maciejewskiego *Listy do Zuzanny*.
Zapraszamy do wsparcia wydania pierwszej powieści
autora *Milczenia katedry* i *Już pora!***